Ner 38. Kraków, 23go Września. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

OGŁOSZENIE PRZEDPŁATY.

Z dniem 1wszego Października b. r. rozpocznie się drugoroczny bieg naszego *Pisma*, **Płci Pięknej** wyłącznie poświęconego.

Zdania, które nam się i czytać i słyszeć o **Niewieście** dały, niepowodują nas do zmiany planu, którymy ułożyli przed rozpoczęciem pisma, i którego trzymaliśmy się dotychczas.

Uznając, że Niewiasty są połową naszego rodu, wywierającą przeważny wpływ nie tylko na drugą połowę, ale i na cały rozwój historyczny ludzkości, staraliśmy się prowadzić do jasności umysły Niewiast, do poświęceń Ich serca, do szlachetności całe Ich jestestwo.

Umieszczaliśmy i nadal umieszczać będziemy w naszem Piśmie artykuły o wychowaniu, poezye, obrazy i opowiadania historyczne, biografie sławnych niewiast z naszej i powszechnej historyi, tradycye obyczajów i zwyczajów przodków naszych, powieści obyczajowe i humorystyczne, rozprawy estetyczne, rozbiory dzieł znakomitych, wiadomości z literatury i jej dziejów z uwzględnieniem szczególnem zasług autorek — sprawozdania z dziedziny sztuk pięknych, wiadomości z działu nauk przyrodzonych i rzeczy odnoszące się do gospodarstwa domowego, ogrodowego itd.

Niepodobna nam twierdzić, żeśmy wszystkie tutaj poszczególnione działy zarówno rozwinęli, wszakże możem upewnić, że nam nie braknie usiłowania, aby w przyszłości uczynić, czegośmy dotąd nie zdołali

Staraniem naszem będzie nietylko pozyskać współpracowników dzielnych dla przedmiotów specyalnych, ale i zastęp współpracowników dla przedmiotów filozoficzno-historycznych i belletrystycznych pomnożyć, chociaż go już dzisiaj dosyć poważnym nazwać możemy, skoro nam wolno wymienić jako do niego należących: Anczyca Władysława, Autora rozprawy o językach wschodniej Galicyi, Balińskiego Karola, Bałuckiego Michała, Goszczyńskiego Seweryna, Ilnickę Maryą, Jaroszewskiego Zygmunta, Kłobukowskiego Antoniego, dra Kremera Józefa, hr. Koziebrodzkiego Władysława, dra Libelta Karola, Lenartowicza Teofila, Lubowskiego Edwarda, L. R., ks. Michnę Wojciecha, dra Pola Wincentego, Szajnochę Karola, ks. Serwatowskiego Walerego, Szujskiego Józefa, Sygmę, Siemieńskiego Lucyana, Syrokomlę Władysława, Turskiego Jana Kantego, Wilkońską Paulinę, hr. Wiesiołowskiego Franciszka, Ziemięcką Eleonorę i t. d.

Prenumerata w miejscu wynosi:					*Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:*				
Rocznie	6	Zł.	—	cent. w. a.	Rocznie	7	Zł.	20	cent. w. a.
Półrocznie	3	„	—	„ „	Półrocznie	3	„	60	„ „
Kwartalnie	1	„	50	„ „	Kwartalnie	1	„	80	„ „
Miesięcznie	—	„	50	„ „					

Mody paryzkie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku zł. 4 c. 20 w. a. wynoszącą), w miesiąc raz dosyłane będą. — Na same mody prenumerata nie przyjmuje się.

Jeżeli ogół Prenumerujących życzyć sobie będzie a liczną prenumeratą nas poprze, natenczas bez podwyższenia ceny Pisma naszego, będziemy do niego dołączać wzory robótek niewieścich, także mody polskie żeńskie i męzkie.

Prenumerować można rocznie, także na pięć kwartałów t. j. do ostatniego grudnia 1862 r. półrocznie, ćwierć-rocznie, a w miejscu i miesięcznie.

Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe tak w Cesarstwie Austryackiem jak i w Królestwie Polskiem, także wszystkie dobrze znane Księgarnie w kraju i zagranicą, którym się ustępuje 10 % od ceny miejscowej w Krakowie.

Chcąc uczynić pismo pożyteczniejszem w kierunku praktycznem, zniżamy cenę od inseratów na 4 centy od wiersza petytowego za pierwsze umieszczenie, a na 2 centy od każdego następnego umieszczenia. Za stempel rządowy dokłada się za każdą razą 30 centów.

Pieniądze prenumeracyjne i za inseraty adresują się do *Redakcyi Niewiasty w Krakowie;* wszelkie posyłki i listy należy *frankować.* Listy reklamacyjne (nieopieczętowane) są wolne od opłaty.

Panowie Pocztmistrze i Ekspedytorowie poczt, którzy wykażą, iż uzbierali 10 prenumerat, otrzymają egzemplarz *gratis.*

O spieszne zamówienia tem bardziej upraszamy, że z powodu *debitu,* który otrzymaliśmy do Królestwa Polskiego, łatwo mogłoby braknąć numerów dla spóźniających się.

Listy Zwrotne dołączyliśmy przy przeszłym numerze.

W Krakowie dnia 12go Września 1861 r. REDAKTOR.

MARYA LESZCZYŃSKA,

Obrazek historyczny

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XI.

Smutek ogarnął familią królewską — a chociaż bujna była jeszcze latorośl Delfina, toć pomimo tego przykre przeczucia ogarnęły Ludwika, gdy mu umarły tak nagle osoby tak bliskie jego serca; Marya zaś — ta kobieta na tronie z dwoma dyademami, z których cierniowy zakrył zupełnie brylantowy, — z rezygnacyą przyjmowała te ciosy, może czując bliską, więcej błogą przyszłość. Przecież jakby piorunem rażona została, nagłą śmiercią ulubionego syna Delfina. Delfin towarzyszący ojcu w obozie, zaziębił się i mocno zachorował— czuł dobrze przybliżającą się śmierć, lecz nie zadrżał, nie mając sobie do wyrzucenia żadnych czynów plamiących. Głęboka religijność pomagała mu do spokojnego oczekiwania końca wszystkich cierpień, jeżeli żałował, to tylko kochających go osób i kraju, którego straszną przyszłość przewidywał. Król ojciec, dotychczas nieufny i zimny dla niego, teraz u przedsionka śmierci, uściskał go — niestety trochę zapóźno — jak najdroższego syna, błagając Boga o powrócenie zdrowia— a żona, szlachetna księżniczka saska, ciągle ubiegająca się za miłością męża, o którym wiedziała że nie mógł zapomnieć pierwszej ukochanej infantki, całemi nocami czuwała nad każdym oddechem aganizującego, wyczekując z chwili ulgi w chorobie zbawienia dla siebie. A cóż mówić o Maryi — któż nie zna serca matki! — Kogóż nie ratuje w srogich dolegliwościach tego żywota, w beznadziejach, boleściach i rozpaczy to jedno wspomnienie miłości matki, ta jedna myśl, że się miało jednę chociażby duszę kochającą wszystkiemi fibrami, wytrwałą w najogromniejszej miłości swej i poświęceniu, z błogosławieństwem zawieszoną u myśli i marzeń naszych...

Żona Delfina z niewygód, zmartwienia, położyła się w grobie obok męża ukochanego na wieki. Marya Leszczyńska pielęgnując znów synowę, wkrótce, bo w kilka miesięcy poszła za niemi.

Śmierć tak nagła, tak szybka tylu osób, wzbudziła pogłoskę, że otrucie było tego przyczyną, czemu teraz po zamachu Damiensa, tem bardziej wierzono; my jednak, którzyśmy patrzyli na żywot Maryi, poznaliśmy, że otruto ją moralnie. Moralna to była trucizna dla kobiety czystej myśli, wielkiej religii, patrzeć na upadek tak haniebny społeczeństwa, na bezbożność tak głęboko zakorzenioną, i chełpiącą się jeszcze z tego patrzeć na rozpusty męża, bezwstydnie dającego się rządzić przez kobiety, kosztem łez prawej małżonki, kraju i prawych dzieci. Purpura królewska, która tak niespodziewanie przed laty odziała jej barki, była dla niej okrutną koszulą Dejaniry; blask królewski, który ją wydarł z pod macierzyńskiej opieki, zbyt krwawo jej oczy spalił. Cierpieć całe życie, kochać całe życie, być związaną wiecznie z osobą, która odpycha naszą miłość, — o! to zanadto na jedno serce kobiety, pękłoby i serce ze stali. To też życie Maryi, jej miłość dla męża, przypomina nam wiersz zgasłego przedwcześnie poety*), w chwili gdy Zygmunt August mówi do Barbary Gasztołdowej:

O ja was nieznałem polskie białogłowy!
Znam włoskie, miękkie czucia, lecz ten płacz surowy,
Co w nim łzy ciężkie, jakby topnęły ze stali,
My się z niego na dworcu naszym naśmiewali,
Bo krój waszego żalu, jak sukni zakonny,
Bo wzrok wasz w lubowaniu, jak w kościele wzbronny;
Wam zdjęte powinnością serce tak zmężniało...

Król Ludwik uczuł tę stratę boleśnie. On nie kochał Maryi, on się oderwał lub był oderwany od niej, lecz czcił ją jak świętość, jak jakąś duszę męczeńską, która kiedyś w niebiosach wymodli mu przebaczenie. Cnota, mówiliśmy już raz — potężną jest i przenikającą — ta cnota była powodem że Ludwik, pędząc życie szalone i zepsute po za obrębem małżonki, w jej obecności był z największą dla niej czcią i względami. Straciwszy ją — czuł że ostatnie ogniwo łączące go z niebem zerwało się.

Tę aureolę świętości, którą ją Ludwik otaczał, uznał dwór cały, uznał naród, nazywając ją *świętą* królową. Po jej zgonie obudziły się gorące wspomnienia jej cnót

*) Dominika Magnuszewskiego.

i przymiotów, obudził się żałośnie ból biednego ludu, którego nędzy nie miała już ratować wspaniała i troskliwa ręka. Lud stracił pomoc i wsparcie, stracił kobietę anielskiej dobroci i poświęcenia, która nie wahała się konającym po szpitalach czynić najlichszych posług, i płakać nad ich niedolą. A biedny czuje wdzięczność dla tego, który mu ofiaruje wsparcie, lecz stokroć jeszcze większą,—jeżeli jest podane w sposób ochraniający jego delikatne uczucie; Marya zaś do wsparcia przyłączała miłosne słowo, które w ustach królewskiej osoby przeważało dar o wiele.

Na siedm miesięcy jeszcze przed śmiercią wszystko co posiadała, oddała ubogim, w ostatnich zaś dniach choroby troskliwie się dopytywała czy ubogim nie zbywa na czem. Dwóch księży, nieodstępując jej śmiertelnego łoża, czytało według jej woli same zdania żałobne, i wówczas wpadała w jakiś zachwyt, zamyślenie, z którego ją, tylko znowu mówiąc o Bogu, wyprowadzić można było. Nic już na tej ziemi nie potrafiło zwrócić jej uwagi, prócz godła Zbawiciela!

Król małżonek przyprowadził do jej łoża córki, którym jeszcze z zupełną przytomnością i z wielkiem rozrzewnieniem dała błogosławieństwo — nareszcie w ciągłych modłach, z różańcem w ręku, spokojnie i błogo Bogu ducha oddała dnia 24go czerwca 1768 r.

(Dokończenie nastąpi).

DWIE DROGI.

(Ustęp z poematu).

Owi dwaj męże nieśli mnie ze sobą
W ogromne góry — skały i urwiska,
A moje serce nie biło żałobą,
Bom nic nie wiedział, gdzie mię piekło ciska.
Szedłem wraz z nimi, pamiętam, jednego
Twarz była groźna i okropne oczy,
Włos czarny, długi w kędziorach się toczy,
A płaszcz szarawy okrył piersi jego,
Które miały być silne i możne,
Bo słowo, kiedy wymówił tak drżało
Jak serce dzwonu, głosząc pożar ludom;
A serce jego snać było — bezbożne,
Bo nic o Bogu nie mówił, lub mało;
I to poznałem, że z drugim człowiekiem,
Który szedł przy mnie, a po prawej ręce,
Musiał żyć sprzecznie — ten drugi w sukieńce
Lekkiej, a biały na licach swe włosy
Puścił na wiatry — i oko miał miłe,
Takiejże barwy jakiej są niebiosy,
A w piersi musiał mieć on wielką siłę,
Bo kiedy mówił, to tak miło, dźwięcznie,
A słowo jego — tak jakoś dzwoniło —
A usta śmiały się uśmiechem wdzięcznie,
Że — ach! człowiekiem takim być to miło.
I to widziałem, że nigdy wejrzenia
Nie spuszczał ze mnie, i silniej mię trzymał,
A pierwszy, ciężkie wydawał westchnienia,
Parskał, i śmiał się, i krzyczał, i zżymał.
A sprowadzili mnie do okolicy,
Której dziś jeszcze pamiętam wrażenie:
Wieniec skał, z każdej czysty zdrój krynicy,
Jak srebrne wody, srebrne ich wejrzenie;
Na każdej skale węże z roślin zwite
Pną się — do łona tuląc się skaliska,
A czoło góry w ciemny bór okryte,
Przez który hafty słońce złote ciska,
A wieniec gór tych opasał dolinę
Czarownych kwiatów i jezior powabnych —
Tak czystych, że ich dopatrzysz głębinę,
Ma dość ryb złotych i wężów jedwabnych,
A śród doliny bije wód kaskada,
Strumień jej srebrny, czysty, nieustanny,
Łzami swych kropel, w okrąg się rozpada,
I znów do nowej przepływa fontanny.
A kiedy jeden promień spadnie słońca,
I w jednem z jezior złamie się zwierciedle,
To ujrzysz złotych słońc tam do tysiąca,
I wszystko blaskiem słońca się zapali,
I światła niebios fala rzuca fali
Że aż i zapluszcze rybka w nich tonąca.
Żyło to wszystko, bo i życie słychać,
Ciszy oddechów nikt tam nie przerywa,
Więc snadno może każdy kwiat oddychać,
Gdy, pijąc rosę, do wód się odzywa;
I słychać, jakim szelestem roślina
Na skalne szczyty piersiami się wspina;
I słychać, z jakim szumem wód kaskada
Do niemych jezior przyjacielsko gada;
I słychać, jako z wichrem bór się miota,
Walcząc o pierwsze — albo jako złota
Wiązka promieni szczelinami boru
Wślizga się — pędząc do tego otworu —
A kiedy jaki śpiewak z niebios zleci,
I na gałęzi swe gniazdko ukleci,
I kiedy ziemię tę powita śpiewem,
Słychać śpiew — i szmer, jak porusza drzewem;
Słychać pisklątka, jak z gniazdkowej cieśni
Do matki ptaszki nucą swoje pieśni,
Żałobne, tęskne, — że aż wszystkie skały
Ze słońcem, nad tym śpiewem zapłakały,
I widać było, jak wilgotna rosa
Z łez ich została — co szły pod niebiosa —
I myśmy przyszli w miejsce i stanęli,
I mąż okropny stanął i rozśmiał się.
A echo jego, na jasnych wód bieli
Wzburzyło fale — i wiatr straszny stał się,
Z skały na skałę przelatywał szybko,
I wstrząsnął lasem — niby rószczką gibką. —

A mąż zaś biały, podniósł w górę oko,
I z niego czysta łezka popłynęła...
Spokojnie, — lubo westchnął raz głęboko,
A z nim przyroda do koła westchnęła —
Więc oni wtedy coś uczuli oba,
Jednym wiem pewno wstrząsnęła żałoba,
A drugim... — niewiem — w jego wielkiej sile
Ja nic nie czułem... i z tego wiem tyle.
Czarny mąż schwycił mię silnie za ramię
Ażem się wstrząsnął i mam po nim znamię,
I wskazał jedno tajemnicze wyjście,
W złote i miękkie wyścielane liście,
Któregom pierwej na wstępie nie zoczył,
Więc' em w nie szybko mym wzrokiem potoczył,
I długą, piękną — ujrzałem aleję,
Prostą — daleką, że nie dojrzy oko,
„Tam! idź!" — a biały wskazał ciemne knieje,
Zarosłe zielskiem — plugawem szeroko,
Trudne do przejścia... zawalone skały,
W których się ostre kamienie łamały,
I drogę całą zakończała rzeka,
Końcam nie dojrzał, bo droga daleka:
„Tędy!" — rzekł do mnie, lecz próżna namowa,
Ja już nie mogłem dobrze pojąć słowa,
Tylko popchnięty dłonią czarną męża,
Wszedłem w tę drogę, co zmysły zwycięża —
I wtedy biały mąż... o ziem się zwalał,
Dłońmi znak zrobił, na co drugi jęknął,
Wzniósł w niebo ręce, i pod skałą klęknął,
I tak wielkiemi lice łzami zalał,
Że z łez tych potem morze się stworzyło,
I wszystko piękne swą wodą zakryło;
I wszystko znikło — i mąż czarny ryknął,
Rozśmiał się jeszcze—pchnął mię w świat—i zniknął,
I tylko jedna została mi droga,
Ta którą sobie sam wtedy obrałem...
I trwożna moja na nią stąpła noga...
I było głucho — i ja sam zostałam...

J. K. Turski.

CIOCIA TEKLA.

Szkic współczesny

przez

W. B. K.

(Dalszy ciąg).

W oficynach, w małym pokoju, oświeconym zaledwie błędnym światłem zasłoniętej świecy, leży od dwóch godzin Zygmunt. Choroba zatrważające i złowrogie robiła postępy, gorączka wzmagała się z każdą chwilą. To majaczył i z ust spieczonych wydobywały się bez związku słowa, to zrywał się z posłania i chciał biedz gdzieś szybko, wyciągając naprzód ramiona, jakby chciał chwycić wymykający się przedmiot, to leżał bezwładnie, tylko pierś podnosiła się urywanie, jakby chciał zaczerpnąć w klatkę oddechową powietrza na czas długi, które przejść niechciało przez rozpalone usta... wtedy bladość śmiertelna na twarz występowała, oczy na poły odmykały się z powiek, świecąc szklistemi białkami.

W pokoju była grobowa cisza...

Na boku oparta o krzesło klęczała Tekla, modląc się twarz ukryła w dłonie, a przez palce łzy toczyły się gorące.

Przy drzwiach czuwała Marta, niechciała ona opuścić Tekli, w chwili tak bolesnej, gdy jej Tekla pozwalała odejść, z pokorą przypominała jej wszystkie łaski doświadczone... które chciała choć tym sposobem odwdzięczyć.

Tekla od czasu do czasu przychodziła do łoża chorego podając mu lekarstwa, jakie w domowej znalazła apteczce... lecz próżną była jej pomoc, Zygmuntowi co chwila było gorzej — śmierć już stawała nad jego łożem. A jak wicher wstrząsnął konarami drzew przy oknach lub szmer kroków rozszedł się cichy, wstrzymywała oddech w piersiach — i serce bić przestawało... bo najście wojska przejmowało ją trwogą... i tak długie płynęły chwile.

Lecz w końcu wicher ustawał, i niebo z chmur rozjaśniać się zaczynało, i blada twarz księżyca wychyliła się z pomiędzy gałęzi drzew, których liście, pokryte kroplami deszczu, brylantami błysły. I Zygmunta zwolna opuszczać zaczęła gorączka, i zaczął przychodzić do przytomności — pierś równiejszym podnosiła się oddechem, — otworzył oczy, — po chwili podniósł się na posłaniu. Tekla wstała i przybiegła do niego. Zygmunt na jej widok rozpromienił się anielską radością, i wpatrzył się w nią tem przenikliwem umierającego okiem, w którem zda się, że przed śmiercią ukrywa się ostatnia władza duchowa człowieka... ustami poruszył chcąc mówić. Tekla nachyliła się do niego...

— Księdza!... — ale słowo to wymówił tak cicho, że tylko kochające serce kobiece odgadnąć je mogło...

Tekla rzuciła się w tył, zakryła oczy, z piersi jej głośny płacz się wyrwał... Dziwnem to jest, a jednak prawdziwem zjawiskiem, że dusze najgłębszem uczuciem religijnem napojone, cofają się z jakiemś przerażeniem przed tym świętym aktem pojednania człowieka z Stwórcą. I w oku Zygmunta może ostatnia łza zabłysła, która niestoczyła się po twarzy, bo ją wysuszyła płomienista powieka — z łzą tą jakby mu sił nowych przybyło, bo podniósł się na posłanie i głośniej wymówił:

— Księdza!

Usłyszała słowa te Marta, i ona zapłakała również, lecz wstała szybko i rzekła do Tekli:

— A JPani trzeba iść... ta to obowiązek święty.

— Idź!... — głucho odrzekła Tekla. Marta wyszła. Nastała znów długa chwila ciszy, przerywana tylko łkaniem Tekli.

Zygmunt przychodził coraz więcej do sił i przytomności, a gorączka prawie ustawała zupełnie...

— Płaczesz — rzekł po chwili cicho i powoli Zygmunt. — Bóg mnie wysłuchał.... i ukarał zarazem... W dniach cierpień modliłem Go, bym cię raz widział jeszcze przed skonem... i ukarał mnie, bo ci dał kielich goryczy spełnić...

— Zygmuncie! — głosem, w którym drgała niewysłowiona boleść, odrzekła Tekla — nie!... ty nie umrzesz!... Bóg się ulituje nad...

— Nie!... nie Teklo!... chwile mego życia już policzone... czuję jak krew w żyłach stygnie... zbliża się ostatnia chwila... Mnie śmierć nie przeraża — jam

dwisi, tem więcej, że znając dobrze Jadwisię, wiedziała, że nie Ernest mógł jej zapewnić szczęście. Hrabina starała się ile możności przed Teklą okryć pozorami zbytnią grzeczność Ernesta, składała grzeczność tę to na kuzynostwo, to na przyjaźń; bała się wprost celu odsłonić... dla czego? Jest to już wrodzone, że dusze małe, mimowoli szukają krętej drogi i nieśmią jasnym i czystym duszom śmiało w oczy spojrzeć. Tak i hrabina, chociaż wewnętrznie przekonaną była, iż Ernest był świetną i wyborną dla Jadwisi partyą, jednakże przy Tekli, przy tej wzniosłej duszy, przeczuwała, iż po nad to wszystko, co Ernest posiadał, było jeszcze coś więcej, był jakiś świat inny, którego niepojmowała, a przed którym jednak czuła uszanowanie.

Ernest, odjeżdżając wieczorem, jeszcze hrabinę prosił, aby stanowczą mogła przyspieszyć odpowiedź.

Dla tego też na drugi dzień hrabina zawezwała Jadwisię do siebie; biedna dziewczyna niewiedziała sama dla czego dochodzącej do pokoju matki tak jej się serce ścisnęło, tak w oczach czarno zrobiło, że wstrzymała się chwilę za nim rękę podniosła do klamki, i ręka bezsilnie strętwiała...

Hrabina była w bardzo słodkiem usposobieniu, kazała usiąść Jadwisi przy sobie, i zaczęła ją pieścić.

— Prawda moje dziecko jak miły wczoraj był wieczór — rzekła w końcu — jakeśmy się wszyscy doskonale bawili...

— Tak mamciu kochana.

— A to Ernest tak nam uprzyjemnił wieczór, prawda że Ernest jest bardzo miły?

Jadwisia spuściła oczy i nic nieodpowiedziała.

— Widać że wychowany w innym świecie, że niezardzewiał w zaściankowem życiu — a jaki dowcipny.

Te pochwały z ust jeszcze hrabiny, która tak rzadko o kim przyjaźnie się wyrażała, zatrważały Jadwisię.

— Cieszę się bardzo, że jest sąsiadem naszym, i nie pojmuję jak bez niego przypędzilibyśmy tu zimę.

— To pan Ernest będzie zimował w swym majątku? nieśmiało spytała Jadwisia.

— Ma zamiar, lecz to zależy... Wierzę jak by wielkie zrobił poświęcenie, siedząc w tej nieznośnej okolicy.

— Nierozumiem mamciu, jak to można nazwać poświęceniem? jeżeli gospodarz siedzi na wsi. Przecież każdy na świecie ma obowiązek do spełnienia, a gospodarstwo to tak szlachetna i zaszczytna praca, pełna rozmaitości, pełna swobody z tak wzniosłym celem. O, kto się pracą tą szczerze przejmie, nienazwie jej nigdy poświęceniem.

— Ależ moja droga, wszystko to może bardzo pięknie, lecz dla tych, którzy muszą robić.

— Jakto mamciu kochana, to pan Ernest byłby wyjętym od pracy?... i od obowiązków? nierozumiem mamciu dla czego.

— Widzisz dziecko moje, kto pracować musi, ten nic nadzwyczajnego nie robi, jeżeli siedzi na wsi, bo inaczej nie miałby żyć z czego, lecz kto ma taki majątek jak Ernest, ten, zrzekając się zabaw i przyjemności, i siedząc w odludnej okolicy wśród niedobranego towarzystwa, robi wielkie poświęcenie.

Zaręczam was szanowne czytelniczki, iż hrabina tę nową teoryę poświęcenia najnaiwniej podzielała.

Jadwisia nieśmiała jawnie sprzeciwić się matce, widocznem jednak było, że teorya ta nietrafiła do jej przekonania.

— I poświęcenie to robi Ernest dla nas — kończyła hrabina — chcąc nam uprzyjemnić długą zimę.

— Nieżałuję pana Ernesta, gdy ma zamiar z poświęcenia przepędzić zimę na wsi, bo pewną jestem, że wkrótce wieś polubi. Jak zapozna się z jej przyjemnościami, to niezamieni cichej wsi polskiej za żadną stolicę w świecie. Mamcia się śmieje ze mnie, a jednakże ja to mówię z przekonania, bo dla mnie największem byłoby umartwieniem, gdybym musiała wieś porzucić.

— Ty, jeszcze o tem sądzić nie możesz — chłodno odrzekła hrabina.

— O ja wiem mamciu kochana, że mi niewolno sądzić drugich, lecz ja to mówię, co mi serce szepce, ja o sobie mówię.

— Moja kochana, bardzo to pięknie, że wieś lubisz; lecz pamiętaj o tem, że i przyszłość twoja nie może się ograniczyć w ciasnych ramkach parafiańskiego życia, nie chciałabym żebyś z urodzeniem twojem całe życie przepracowała jak klucznica, niedarowałabym sobie nigdy podobnej obojętności. Ty niemożesz twych najpiękniejszych lat tak zmarnować.

— Ależ kiedy ja mamciu kochana szczęśliwa, kiedy ja mamcię błogosławię za to, iż mnie zostawia w Podgórny.

— To wszystko wyegzaltowane w tobie, jak spojrzysz z krwią trochę zimniejszą, to przekonasz się, iż jest bardzo dużo na świecie rzeczy więcej przyjemnych i odpowiedniejszych położeniu twemu; wieś lubisz i chcesz na wsi mieszkać, ależ na wsi zakres życia i stosunków jest bardzo ciasny, samotność sprzykrzy się w końcu. Gdybym cię nieoderwała od tego życia, to wierzaj mi, tak zardzewiejesz, iż straconą będziesz dla tego świata, do którego należysz.

— Ależ mamciu świat to...

— Świat ten wyższy, do którego należysz, ma swe prawa i swe obowiązki, ma swe reguły, i niewolno ich przekraczać. Należąc do tego świata musisz się prawom jego poddać, w nim tylko szczęście twoje, dla tego wieś dla ciebie nieodpowiednią zupełnie, i myślę cię wprowadzić w należne ci towarzystwo.

— Mamciu droga, ja tego wszystkiego nie rozumiem, mnie tu w Podgórny tak dobrze — tu przy mamci, przy cioci, byłabym niewdzięczną pragnąc czegoś więcej, i niewiem czy Bóg może dać komu szczęścia więcej. Przy mamci, przy cioci, która mnie tak kocha, która pracuje nad wykształceniem mojem, która mnie nauczyła szukać szczęścia w wypełnianiu codziennych obowiązków, nauczyła obowiązki te cenić, tak mi dobrze... że nie chcę... nie pragnę nic więcej — i chwyciła Jadwisia matkę za rękę, by ją do ust przytulić i błagającym wzrokiem udowodniała prawdy słów swoich. Lecz hrabinie niepodobało się to serdeczne uniesienie Jadwisi i dla tego po chwili poważnie odrzekła:

— Moja Jadwisiu! tyś już przestała być dzieckiem, więc mogę rozsądnie pomówić z tobą. Dawniej niesprzeciwiałam się skłonnościom twoim, byłam przekonaną że je czas odmieni, lecz już dorastasz i trzeba na seryo brać wszystko. Pomyśl, proszę cię, do czego cię doprowadzić może kierunek, w którym idziesz teraz?... Z twojem imieniem, z urodą jaką ci Bóg dał zmarnujesz młode lata w wiejskiem zaciszu, a ja na to pozwolić nie mogę, nie mogę żadną miarą. Nie jesteś dzieckiem, więc wiesz, że cię czeka los na świecie, że musisz pójść za mąż, i któż byłby tu godnym twej ręki?.... ja jako kochająca cię matka zastanawiałam się nad tem już nieraz.

Jadwisia pochyliła zarumienioną główkę na piersi, i z prędkiem biciem serduszka słuchała słów matki.

— Zastanawiałam się nad losem twoim, — i wiedząc jakie wpływy działają na ciebie, ułożyłam projekt, który i tobie zapewnia szczęście, i dla mnie będzie źródłem pociechy, projekt, który cię wprowadzi w świat odpowiedni, który, jednem słowem, pod wszelkiemi względami jest świetny.

— Jakto mamciu? to ja miałabym już?... — cicho spytała Jadwisia.

— Tak jest, ułożyłam już projekt, który do skutku musi przyjść koniecznie.

Wpatrzyła się Jadwisia trwożnie w marmurowe oblicze matki, która bez najmniejszego wzruszenia tak mówiła dalej:

— Bo projekt ten zapewnia ci szczęście i świetne stanowisko w świecie.

Wstała Jadwisia i przycisnęła rękami bijące gwałtownie serduszko.

— Ernest oświadczył się o twoją rękę — zimno i poważnie skończyła hrabina.

Jadwisia zbladła, usta się jej skurczyły w jakiejś niemej boleści, i oparła się o poręcz karła, aby nie upaść na ziemię.

— I z radością przyjęłam oświadczyny jego.

Jadwisia na te stanowcze, a tak złowrogie dla niej słowa, zachwiała się... i tłumiąc płacz głośny do nóg upadła matki.

— Ależ ja go nie kocham!... — zawołała rozdzierającym od boleści głosem.

Hrabina odpowiedź córki przyjęła bez najmniejszego wzruszenia, i odparła metalicznym głosem.

— Niewiem, kto ci mógł myśli podobne podsunąć! jest to zupełnie nieodpowiednie w twoich ustach.... nikt nie wymaga abyś go kochała!

— Matko!... zlituj się nademną! — błagającym głosem jęczała Jadwisia.

— Moja droga, wiesz że nie lubię sentymentalności; usiądź tu koło mnie, i słuchaj z uwagą. Nie jesteś dzieckiem, więc mogę ci do rozsądku mówić i spodziewam cię, że się przekonam, że związek ten jest zupełnie dla ciebie odpowiedni.

— O biedna ja! — płacząc zawołała Jadwisia.—Mama mnie nie kocha.

— Ależ przeciwnie, dla tego, że cię kocham pragnę tego związku; dla tego, żeś mi tak drogą, pragnę twego szczęścia, a nie widzę by kto mógł ci go dać więcej jak Ernest. — I mówiła to hrabina z przekonaniem w najlepszej chęci, bo niepojmowała, by mogło do związku dwóch ludzi wchodzić coś więcej nad świetne stosunki — świat uczuć był nie pojętym dla niej.

— Właśnie dla tego tylko, że cię kocham, tak stanowczo przychylam się do tego związku, i bądź pewną że będziesz bardzo z Ernestem szczęśliwą. Ernest ma tyle przymiotów, jest majętny, dobrze urodzony, czeka cię więc z nim pożycie pełne zabaw, pełne przyjemności.

Jadwisia serdecznie płakała... lecz ten płacz jej nie rozbrajał hrabiny z jej postanowienia.

— Zresztą i ja już będę o twoją przyszłość spokojną.

— Matko! — jeszcze raz w uniesieniu boleści i rozpaczy zawołała Jadwisia — ja niepójdę za niego... bo ja go nie kocham.

— Szaleństwo! moja Jadwisiu, masz czemś rozegzaltowaną głowę, lecz się nie dam poruszyć temi dzieciń每stwami, bo w tem szczęście twoje. Ernest jest jedną z najlepszych partyj w kraju — śmiano by się ze mnie gdybym ją odrzuciła, i już raz drugi niespotkał by cię los tak świetny.

— Niechże mamcia spyta cioci! — cicho wyznała Jadwisia, przeczuwając że ciotka była ostatnią deską ratunku.

— Nie, Tekla ma swoje uprzedzenia, z któremi nie myślę walczyć, niepotrzebuję się więc jej radzić. Postanowienie moje jest niezmienne, chcę żebyś poszła za Ernesta... i pójdziesz.

— To więc już niema nadziei dla mnie?...

— Czegóż ty możesz żądać więcej moja Jadwisiu? któż jest od Ernesta godniejszy twej ręki... bądźże rozsądną i zaufaj mi, zaufaj mojemu doświadczeniu.

Jadwisia ukryła zapłakane oblicze w dłoni, serce jej boleść niewymowna szarpała, skryte czarowne marzenia, jak szklanne bańki, pękały jedne za drugiemi przed słowami matki. I dziwnie się jej chłodno i pusto w piersi robiło, jakaś ją gorycz wskróś przejmowała, i w końcu zdobyła się jeszcze na opozycyę temu związkowi, do którego tyle czuła odrazy.

— Nie!... nie!... ja niepójdę za niego... ja umrę pierwej.... — Frazes ten wprawdzie oklepany bardzo, w ustach jednak Jadwisi miał dziwną siłę i prawdę.

— Jadwisiu! — rozbrojona trochę temi słowami odrzekła hrabina — czemu ty mi niewierzysz, czemu wątpisz że pragnę twego szczęścia — i zaczęła ją pieścić— odrzucając ten związek, bardzo, bardzo mnie martwisz, ja już się do grobu nachylam, tyś mi jedyną pociechą na ziemi... widok twego szczęścia jeszcze mnie jedynie będzie do świata wiązać. O wierzaj mi tylko, widząc cię połączoną z Ernestem, spokojną o twą przyszłość będę... a ty niechcesz mego spokoju? Odrzucając ten związek, zadasz cios wielki memu sercu.... nie, ty tego nie zrobisz, może chwilowo nie masz przywiązania dla niego, bo go nieznasz, lecz z czasem wierzaj mi... — I długo, długo tak hrabina przemawiała do Jadwisi, to podnosząc zalety Ernesta, to stawiając na głównym planie własną wolę, do której, chociaż z poświęceniem, wymagała nagięcia się biednego serca dziewczyny.

A Jadwisia słuchała.... płacząc rzewnie i walcząc z sobą.

X.

Przyszły związek Jadwisi z Ernestem nie był już tajemnicą. Hr. Leon przyjął wiadomość tę, jako rzecz skończoną z zadowoleniem i radością, cieszył się, iż los zapewniony Jadwisi i niepatrzył głębiej. I wnet zaczął układać projekt podróży do tych Włoch, za któremi tak tęsknił, do których udać się wzbraniały mu te nieznośne interesa: Boiński z swojemi rachunkami i Szmul brodaty z wekslem. A liczył teraz na poparcie Tekli, mając względem niej rozwiązane ręce, bo Tekla na pozór z zupełną obojętnością wieść tę przyjęła, ani ją pochwalając ani też ganiąc. Tak było napozór, lecz rzeczywiście Tekla niezmiernie przeciwną była temu związkowi Jadwisi, lecz jako doświadczona, przezorna, a znająca serce ludzkie, wpierw chciała gruntownie wybadać Jadwisię, za nim na stanowcze zdecydowała się postanowienie. Ale Jadwisia zamknęła się w boleści swojej, przygnębiona stanowczem wyrzeczeniem matki, i poddała się chociaż z boleścią jej widokom. Bo Jadwisia, wychowana przez ciotkę w zakonie wysokiego duchowego nastroju, wiedziała, że poświęcenie jest najwyższą zasługą życia, a dziecko jeszcze, nie umiała rozróżniać ważności i doniosłości poświęceń; dość jej było, że matka tak gorąco życzyła sobie tego związku, aby przytłumić bicie własnego serca, aby rozpryśnięte marzenia, jak listki z kwiatów, rozsypać po grobowcu zgasłej nadziei. I raz powziąwszy postanowienie, które Bóg jeden wie tylko ile ją łez i cierpień kosztowało, stała się spokojną i milczącą przed ludźmi, a dla Ernesta jak marmurowy posąg. Nieskarżyła się przed nikim i łez w jej oczach niebyło, ani westchnienia — ale też i uśmiech już się nie błąkał po jej koralowych ustach.

Kto się dziwić będzie, że Jadwisia w tem rozpaczliwem położeniu swojem nie szukała pociechy i pomocy u kochającej ją ciotki, ten nie zna ani serca ani uspo-

sobienia dziewic takich jak Jadwisia, ten nie wtajemniczył się nigdy w tę bezdenną głębię ich ducha, w której bujają cudne kwiaty anielskiej rezygnacyi i poświęcenia. Ten nie zna dziewic takich, co na pozór jak lilie wiotkie gną się od puchowego powiewu wiosennego wiatru, lecz w burzach, w nawałnicach życia, tracą tę gibkość liliową, mieniając ją na stalową hartowność ducha, i wśród tych burz ziemskich, z jasnem ku niebiosom podniesionem czołem, przechodzą natchnione i nieugięte. Ten nieodgadł dusz takich, które w łzach i boleściach czerpią siłę swoją.

Jadwisia była jedną z takich dziewic, które wśród cierpień rozkwitają dopiero w pełni jak kwiaty, których dusze w jednej chwili dochodzą do najwyższego szczytu zaparcia się i poświęcenia. Po postanowieniu usłyszanem z ust matki, z dziecka Jadwisia od razu stała się niewiastą. Dotąd z wewnętrznych uczuć swoich nie umiała ona zdać sobie sprawy, bo wesoła, szczęśliwa, swobodna patrzyła w świat i życie, z tą swobodą i wiarą dziecięcą, którą się raz tylko w życiu posiada, a która jest jednym z największych skarbów młodości. Patrzyła w życie, przeczuwając że jej łzy i cierpienia przyniesie, lecz niewierzyła, żeby jej serce kiedy zgruchotać miało: Bo do koła tyle miłości widziała dla siebie, że wśród złotych marzeń usypiała, jak motyl na róży kwieciu. Nieznała ona dotąd wewnętrznych uczuć swoich, tem bardziej tego cichego, sennego, eterycznego uczucia, które drzemało w jej piersi dla Józefa. Bo jak wiemy, Józef mimo miłości swojej unikał sposobności objawienia jej Jadwisi... był dla niej bratem, i sam niewiedział że przez to coraz mocniej i potężniej wpajał się w dziewczęce serce. Tak jest, Jadwisia niewiedziała zupełnie jak wielkie jej było przywiązanie do Józefa, nie wiedziała że te wszystkie marzenia, te ciche i nieokreślne rojenia, którym z taką poddawała się nieświadomością, już nad nią zapanowały zupełnie, i trzeba było aż silnego nacisku zewnątrz, ażeby uczucie to w całej rozwinięło się pełni, trzeba było małej iskry zkąd inąd, aby wybuchł pożar w dziewczęcej piersi. — Taką iskrą było oświadczenie się Ernesta, wtedy zabiło jej gwałtownie namiętne jej serce, i w uderzeniach tego serca posłyszała głos potężny, który jej inne wymówił imie. Wtedy tylokrotne, przelotne marzenia już zrysowały postać wybitną, tak wdzięczną, tak sympatyczną, tak wzniosłą, iż przy niej dziwnie niekorzystnie wydawała się postać Ernesta... I w tej jednej chwili poznała uczucia swoje, poznała silną dla Józefa miłość, która nią już władała całą, którą chwilę upoiła się czarownie, i musiała odtrącić na zawsze... o serce dziewczęce pękało z boleści. Może, gdyby nie to zdarzenie, uczucie to byłoby długo jeszcze zostało pół-senne, może, gdyby ją hrabina była znała lepiej, gdyby się była wtajemniczyła w jej usposobienie duchowe, w te nieokreślone jeszcze marzenia, może byłaby zwolna i oględnie wyprowadziła z nich Jadwisię, nie wystawiając jej serca na łzy i ciernie. Lecz postępowaniem tak stanowczem i niespodziewanem, wywołała tylko silniejsze oddziaływanie wewnętrzne, rozbudziła uczucie, i kazała zwracać się ku niemu całem dreszczem bolesnego serca. Ale jakeśmy rzekli, Jadwisia była wyższą dziewicą, dla niej matka wyrocznią była, i ku jej woli nagięła wolę swoją; matka życzyła sobie tego związku i to jej wystarczało, aby życzenia jej spełnić... aby im się poddać, chociaż z kosztem najdroższych marzeń. Przychodziły jednak chwile mocniejsze nad te postanowienia, chwile rozstroju wewnętrznego, w których jak dawniej usiadała przed krosienkami, i roiła jak dawniej, tylko rojenia te miały już wytknięty swój kierunek, zwróciły się ku wybitnemu przedmiotowi, a nie miały już tych złotych tęczowych skrzydełek nadziei, nie miały już tych niechwytnych zwrotów wiosennego wiatru... lecz jakąś kirową szatę smutku, w którą strojne poważnie przesuwały się przed jej oczyma. W takiem usposobieniu zastała ją raz Tekla, która przyszła umyślnie, aby bliżej wybadać Jadwisię.

Jadwisia na jej widok szybko otarła oczy zwilżone łzami, i oblicze, pełne wyrazu boleści, nagięła do uśmiechu i wesela. Lecz Tekla instynktem serca odgadła w tej chwili, co tam kryło się w piersi dziewczyny, przystąpiła do niej, objęła rękami jej główkę i pocałowała w czoło.

— Biedne... poczciwe dziecię! — rzekła z czułością.

Słowa te tak proste, ale wymówione głosem, w którym drgało głębokie współczucie, wstrząsły Jadwisią, zachwiały jej udanym spokojem, przytuliła się silniej do piersi ciotki, i płacz głośny wyrwał się z jej łona.

— Ty go niekochasz?.... prawda? — spytała po chwili.

Jadwisia miasto odpowiedzi chwyciła ciotkę za szyję i ukryła spłonione i zapłakane oblicze.

— I czemuż nie przyjdziesz do mnie? czemu nie otworzysz mi serca... czym nie zasłużyła na zaufanie twoje Jadwisiu moja?

— O ciociu! ciociu!... twoje słowa życie mi wracają.

— O! tak dziecię moje! czemu nie przyjdziesz tak jak dawniej otworzyć serca i wypłakać boleść, przecież wiesz jak mi drogą jesteś, żeś mi ty jedną pozostała na ziemi, że twoje szczęście jest mojem... że dla ciebie wszystko! wszystko jestem gotową poświęcić. A ty się ukrywasz przedemną, ukrywasz łzy, ukrywasz cierpienie...

— Nie ciociu droga! ja nie cierpię — po chwili z rezygnacyą odrzekła Jadwisia — ja spokojną jestem i będę szczęśliwą...

— A zkąd te łzy w oczach? — spytała Tekla — o nie myśl, byś przed okiem mojem ukryć mogła bicie twego serca! nie, ty spokojem twoim niezwiedziesz mnie Jadwisiu, i tylko mnie większą napawasz goryczą.

— Ciociu! ciociu kochana, jam taką samą jak dawniej, równie swobodną jak przedtem, mnie nic nie dolega.

— Słuchaj mnie Jadwisiu — poważnie rzekła Tekla — nie myśl, abym chciała ganić postanowienie twoje, jeżeli ono ma za sobą skłonność serca, nie — dziecko moje; lecz jeżeli postanowienie to wypłynęło tylko z poświęcenia, wtedy muszę się jeszcze sprzeciwić. Bo poświęcenie na ziemi musi mieć cel wyższy, aby było zasługą życia; poświęcenie, które nam rani serce, a w zamian nie przynosi nic wyższego, nie jest obowiązkiem naszym. Jadwisiu ty kochasz Ernesta?

Jadwisia ukryła oblicze w malutkie dłonie i niezaprzeczyła ciotce.

— Ty go nie kochasz, a związek ten tak święty, tak wielki bez wzajemnej miłości jest strasznym tylko ciężarem. Taki związek zatruwa życie goryczą do grobowej deski, niedając w zamian żadnych wyższych rozkoszy. O wierzaj mi dziecko moje, aby tak wielkie z siebie poświęcenie robić, trzeba być pewną, iż krokiem tym zrobi się szczęśliwym kogoś, godnego takiego szczęścia, lub się cel szlachetny osiągnie.

— Mama życzy sobie tego — cicho płacząc odrzekła Jadwisia.

— Mama nie zna serca twego. I niedziwię się jej, że widząc w Erneście na pozór tyle dobrych zalet, że życzy sobie tego związku, lecz gdyby wiedziała żeś ty mu niewzajemną, to pewnie nie wymagałaby od ciebie tyle poświęcenia.

— O cіociu! gdyby to prawdą było!

— Ręczę ci, że nie będzie chciała zatruwać ci życia, bo cię kocha, bo pragnie twego szczęścia. I jak się zastanowi nad różnicą w charakterach i usposobieniach waszych, to pierwsza od projektu tego odstąpi.

— O! ja niemam nadziei!... — z boleścią odparła Jadwisia.

— Więc sądzisz, że się to wypełnić musi?... Więc powiedz, idąc za Ernesta bez miłości, kogóż uszczęśliwisz?....

— Wypełnię wolę matki — odrzekła Jadwisia z dziwną powagą i rezygnacyą.

Tekla odwróciła się szybko chcąc ukryć łzę, co się zakręciła w oczach, bo głos Jadwisi poruszył ją do głębi.

— A twoje szczęście?...

— O! szczęście moje! — zawołała Jadwisia — ja o niem nie myślę.

— A marzenia twoje wszystkie cichego życia na wsi wśród pracy i obowiązków? Ernest cię w świat inny wprowadzi.

— O! ciociu! nie rozdzieraj mi serca.

— A gdybyś tem postanowieniem twojem raniła serce drugie... gdyby ktoś..

Jadwisia spojrzała w twarz ciotki badawczo, a jakiś promień nadziei rozświecił jej spłakane oblicze.

— Gdyby ktoś inny był jeszcze, ktoś godniejszy twej ręki, ktoś, którego wzniosłe serce i szlachetny charakter dawał pewną rękojmię twego szczęścia. Gdyby był ktoś, co cię oddawna pokochał prawdziwie, a w podniosłości uczucia swojego starał się zasługą i pracą dobić ręki twojej, a ty postanowieniem tem zabiła marzenia jego na wieki, zawiązała przyszłość... Jadwisiu, gdyby był ktoś?...

— Litości! litości! ciociu, bo mi sił do spełnienia woli matki braknie!

— O teraz wiem Jadwisiu, wiem co mam czynić! ty niepójdziesz za Ernesta, ciebie los inny czeka, ty wiesz o kim ja mówią.

Zarumieniła się mocno Jadwisia, i starała się ukryć pomięszanie.

— On ciebie kocha!...

Zachwiała się Jadwisia na te słowa, chwyciła oburącz za serce, oblicze rozjaśniło się jakimś nadziemskim blaskiem i w nadmiarze wzruszenia chwyciła ciotkę za rękę, — i jak kwiat od słońca, pochyliła główkę na piersi i upadła bez siły. Lecz omdlenie jej nie trwało długo, krew zaczęła rozkosznie po żyłach krążyć, i przyszła do przytomności—wzruszenia tkliwe i czarowne kryją w sobie dziwną odżywczą siłę.

(Dok. nastąpi).

W ciągu tygodniowego odpustu w Mogile mnóstwo osób udaje się tam z Krakowa, bądź piechotą, bądź jaką wozową okazyą. We środę zaś t. j. d. 18go b. m. zebrało się pod przewodnictwem kilku księży, z chorągwiami i świętemi obrazami około sześć tysięcy Krakowian, i w uroczystym pochodzie religijnym odprawiło pielgrzymkę na miejsce odpustu. Zaprawdę wspaniały i wzruszający to był widok, gdy zarówno starzy i młodzi, mężczyzni i kobiety, bezustannie religijno-narodowe pieśni śpiewając, gościniec do Mogiły wiodący zapełniali. Przed samą wsią Mogiłą na powitanie procesyi wyszli księża, na odpust tam przybyli, z których jeden serdeczną mową powitał pobożnych rodaków. W kościele zaś śród summy, na której śpiewali wszyscy „Boże coś Polskę“ i inne religijno-narodowe pieśni, miał kazanie stósowne do okoliczności a pełne zapału i uczucia, znany i szanowny ks. Henryk Księżarski, który całem sercem przejął się tą wielką i uroczystą chwilą, w której tak licznie zebrani Krakowianie, padli na kolana z wiarą i czcią u stóp Krzyża Pańskiego.

Po południu odbyła się zaś uroczystość poświęcenia i postawienia na cmentarzu przed klasztorem XX. Cystersów, krzyża na cześć i pamiątkę Braci naszych poległych w Wilnie i Warszawie przez Krakówian tam przyniesionego. Podczas, tej do łez rozrzewniającej uroczystości, było kilka przemów, a jeden z obywateli odczytał głośno gorącą modlitwę do Tronu Boga wystósowaną o spokój dusz tych najświeższych ofiar nazego narodu.

— Musimy coś wspomnieć o wyrażeniach się *Krakauer Zeitung* ze względu deputacyi kobiet po zajściach w d. 2 września — wspomnieć zaś dla tego: że taż gazeta sprzecza się o wyrażenie *damy* i *kobiety* z *Czasem*. *Czas* wyraził się że „kilkadziesiąt kobiet“ udało się w deputacyi — *Krakauer Zeitung*, przekręcając zdarzenia a nie rozumiejąc języka polskiego, podaje z naciskiem, że nie kobiety ale „damy“ należały do deputacyj. *Czas* zaś odpowiada że w politycznym znaczeniu w polskim języku nie mówi się damy, ale w ogóle kobiety. Na co *Krakauer Zeitung* replikując, dziwnie wnioskuje i dziwne podsuwa myśli *Czasowi*, jak np. że *Czas* w swej ogólnej odpowiedzi, przecież jednak chce, aby myślano że tam i znakomite damy się znajdowały, wzywa przeto *Czas* aby ją nauczył: „czy język polski jest tak ubogi, że tam gdzie się znajdują takie damy jak księżna Jabłonowska, niemożnaby inaczej się wyrazić jak tylko „kilkadziesiąt kobiet“, co tak brzmi jak np. dwa mendle kobiet,“

Otóż na to pokrótce odpowiemy. Nie zaciekając się w etymologię słowa *kobieta*, którego użycie nam wszystkim dokładnie jest znane, napomknąć jednak musimy dla wiadomości *Krakauer Zeitung*, że wyraz *damy* nie jest polski, że się go tylko w salonowym czasem używa znaczeniu — bo nawet ten wyraz sami Niemcy przyjęli od Francuzów, wyraz zaś *kobiety* mieści w sobie cały rodzaj płci pięknej, bez różnicy wyznań i stanu, i w takiem znaczeniu bardzo słusznie *Czas* go użył, nieprzypuszczając nawet, aby go ktoś, znający dokładnie język polski, z tego względu mógł zaczepić. Kiedy bowiem mówimy *kilkadziesiąt kobiet udało się w deputacyi*, to tylko z prywatnej ciekawości dowiadujemy się, czy tam była księżna, czy szewcowa; lecz w gruncie rzeczy jestto dla nas zupełnie obojętnem, dość, że było tam poselstwo pewnej liczby kobiet reprezentującej-całe grono mieszkanek Krakowa.

Nareszcie mówiąc u nas o kobietach w podobnych kwestyach, nikomu się nie śni rozróżniać majątku lub urodzenia, każdy bowiem czuje doskonale, że *Polki* to najwłaściwsze wyrażenie,— chodzić nam jedynie by mogło o ich stopień oświaty lub moralności.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.